STEFAN PIEŃKOWSKI

1913-1990

Wspomnienia uczniów o swoim wychowawcy

Możemy mieć różne wspomnienia o Panu Pieńkowskim, ale jedno jest wspólne… dla większości z nas był pierwszym nauczycielem! Mówiliśmy o nim „Nasz Pan”.

Dla mnie był od początku autorytetem, mimo, że moja rogata dusza buntowała się czasem …

Np. Kiedy pod koniec naszej edukacji powiedział mi, że powinnam zostać nauczycielem, całkiem niegrzecznie odpowiedziałam, że „wolałabym kamienie na drodze tłuc”. No i wyszło na Jego, zostałam nauczycielem akademickim i przez ponad 20 lat uczyłam!

Albo wtedy, gdy jako dyżurna, a może gospodyni klasy, zapomniałam wziąć od Pana Profesora klucz od szafy. Szafa, to było niezwykle ważne miejsce w naszej klasie. Przechowywane tam były, między innymi kałamarze z atramentem, które należało przed lekcją umieścić w otworach ławek. Nie było klucza, nie było atramentu, nie było jak prowadzić lekcji. Problem był duży, a ja zaczęłam się głupio tłumaczyć „gdyby Pan miał klucz to by siedział w szafie”, co wywołało burzliwą wesołość moich, niepozbawionych wyobraźni kolegów.

No i jeszcze jedno wspomnienie … Jeden raz w życiu poszłam na wagary. Spotkaliśmy się pod Kolumną Zygmunta i poszliśmy do chłopaka z innej klasy, który mieszkał na ulicy Piwnej. W grupie wagarowiczów była Gosia Boguszewska, która przyciśnięta przez rodziców przyznała się do wagarów, a rodzice oczywiście powiadomili Profesora Pieńkowskiego. Jako gospodyni klasy byłam osobą zaufaną i powierzano mi przynoszenie Dziennika klasowego. Jakie było moje zdziwienie, graniczące z przerażeniem, kiedy zobaczyłam, że w dniu wagarów mam nieobecność usprawiedliwioną!!! Gorszej kary, Pan Profesor nie mógł wymyślić.

Moje ostatnie wspomnienie, to spotkanie z Panem Profesorem na imieninach Teresy i Jej Mamy Jadwigi Krasnodębskiej, które wypadają w tym samym dniu 15 X. Powiedział mi wtedy, że „w duchu” nazywał mnie Wiktorią i uważał, że na pewno w życiu mi się powiedzie. Czy miał rację? Nie wiem, jeszcze nie wiem ……..

Krystyna Broda

Dołączając się do tekstu Krystyny

Pan Profesor miał swoje ulubione powiedzenie, które stosował zawsze w momentach, gdy chcieliśmy już, natychmiast, teraz - zaraz być dorosłymi, a w każdym razie za takich uważaliśmy się w liceum i dopuszczaliśmy się rozmaitych „przestępstw”, które w naszym rozumieniu były atrybutami dojrzałości: próby papierosowo-alkoholowe, balangi, ”śmiałe” stroje i makijaże, rozmaita „radosna twórczość” zabroniona przez kodeks szkolny. Kiedy to wszystko już wychodziło na jaw i zostawało osądzone sprawiedliwie, Pan Profesor wygłaszał sentencję końcową „wyroku” z naganą, ale też i z politowaniem w głosie: ”Za wcześnie, kwiatku, za wcześnie...”.

Bardzo często (przeważnie w majowym okresie matur) w czasach licealnych organizowane były wycieczki szkolne w różne strony Polski, zawsze z Panem Profesorem, który był ich inicjatorem i pomysłodawca.

Nie specjalnie chyba wtedy interesowaliśmy się zabytkami, historią (poza Stasiem Życińskim) i obyczajami ludności miejsc odwiedzanych, wydaje się, że znacznie ważniejsze były dla nas wtedy relacje koleżeńskie.

Niemniej chyba właśnie wtedy został zaszczepiony bakcyl podróżowania – zapewne nie tylko u mnie – który rozwija się nadal przyjemnie i jest stosunkowo niegroźną, acz nieuleczalną chorobą.

Na zakończenie szkoły ofiarowaliśmy Profesorowi na pamiątkę rodzaj laurki, z wierszem i fotograficznym „drzewem genealogicznym" naszej klasy, gdzie Pan Profesor Pieńkowski stanowił „pień" drzewa, a my byliśmy jego" gałęziami". Czy ktoś pamięta cały ten długi wiersz i kto był jego autorem? Tak brzmiała pierwsza zwrotka / przypomniana dzięki córce Profesora:

Przez 11 długich lat szliśmy przy Tobie ramię w ramię,
Jak dawno sięga nasza pamięć, uczyłeś nas poznawać świat.
Od pierwszych liter alfabetu, kiedy zagadką było „A",
TY ulepiłeś kształt kobiety i to dzisiejsze męskie „JA"

Byłam z córką Profesora, Dorotą, na Cmentarzu na Wawrzyszewie. Grób Pana Profesora i Jego żony Danieli – cały w zieleni, z prostą, białą tablicą z piaskowca – znajduje się pod adresem: kwatera 8 B – rząd IV – miejsce 11. Żył 77 lat.

Teresa Krasnodębska

Wspomnienie Eli Szymańskiej

Pan Pieńkowski bardzo często ubierał się w brązową marynarkę (a może nawet w cały brązowy garnitur), w zieloną koszulę (pamiętam jej kolor!) i nosił eleganckie, ślicznie wyczyszczone, brązowe buty.

Mojemu Wychowawcy – wspomnienie Ani Rudzińskiej

Kiedy szłam do pierwszej klasy moi rodzice długo dyskutowali czy lepsza jest opcja by wychowawcą tej klasy był mężczyzna czy kobieta. Na szczęście zadecydowała ta pierwsza opcja. Profesor Pieńkowski miał wtedy uprawnienia do nauczania podstawowego, co znaczyło, że od trzeciej klasy przejmie nas ktoś inny. Przed wojną, jak sam nam opowiadał, pracował, jako nauczyciel w zapadłej wsi na Polesiu lub na Podolu (?) już nie pamiętam. Opowiadał, że za zeszyt dzieci przynosiły jajko. Podczas okupacji siedział w obozie.

Pierwsze lata szkolne to moja walka z leworęcznością. Profesor nie zgadzał się z zaakceptowaniem faktu, że sprawnie i szybko piszę i rysuję lewą ręką a prawą słabo, więc przerwy spędzałam zazwyczaj na przepisywaniu tego, co było na tablicy. Takie to były czasy. Zwykle pod koniec przerwy przychodził i dopisywał brakujące linijki tekstu.

Myślę, że nastręczałam Mu kłopotów wychowawczych, bo pamiętam z tego okresu dwa zdarzenia. Pierwsze to wspaniała zabawa podczas lekcji z Hanią Kamińską. Przynosiłyśmy drobne zabawki i świetnie się nimi bawiłyśmy pod ławką. Za ten czyn zostałyśmy rozsadzone. Na początku solidarnie ryczałyśmy, ale w kolejnych dniach na placu boju zostałam sama. Potraktowałam to ze strony Hani jako zdradę, ale osamotniona też dopięłam swego. Znów, pod pretekstem, że jesteśmy obie najniższe w klasie, zostałyśmy posadzone w jednej ławce. Drugie zdarzenie to wyjście do teatru Guliwer. W tamtych czasach traktowałam wszystko bardzo na serio i sztukę wystawianą też potraktowałam dosłownie. Pamiętam, że oprócz kukiełek główny bohater był aktorem. Przydarzały mu się rozliczne przygody i nieszczęścia, które spowodowały, że szybko zaczęłam płakać, a nawet powiedziałabym ryczeć. Wylądowałam na kolanach profesora, który chyba dość bezradnie pocieszał mnie, że to tylko na niby, w co oczywiście nie wierzyłam i ryczałam jeszcze głośniej. Główny aktor też robił co mógł, aby uratować przedstawienie. W momentach poprzedzających kolejny kataklizm, a nawet w jego trakcie uśmiechał się i nawet machał do mnie ręką. Taka płaczliwa była ze mnie dziewczynka.

Piszę o tym głównie dlatego, żeby pokazać jakim był człowiekiem nasz nauczyciel. W tamtych czasach dominował stereotyp mówiący, że to kobiety wychowują dzieci a nauczaniem początkowym zajmowały się nauczycielki, ale On wspaniale umiał się zniżyć do problemów dziecka

Profesor z uczniami Jurkiem Langnerem i Hanią Kudenicz

Nie tylko ja nastręczałam Mu kłopotów wychowawczych. To zdarzenie znam z opowiadań mojej Mamy, ale obrazuje podejście Pana Profesora do nauczania.

W naszej I klasie był niejaki Walduś, gruby chłopak, który notorycznie się spóźniał. Wreszcie Profesor postanowił dać mu nauczkę i kiedy Walduś przyszedł pod koniec trzeciej lekcji został postawiony pod tablicą i musiał wysłuchać okolicznościowej pogadanki na temat spóźniania się. Wysłuchał spokojnie i zapytany, co ma na swoje usprawiedliwienie zaczął … Do szkoły wyszedł o właściwej godzinie a nawet z pewnym naddatkiem czasowym, więc kiedy doszedł do mostu kolejowego i przechodził obok budki z piwem, przy której stali koledzy tatusia dał się skusić na małe jasne. Grzeczność kazała mu porozmawiać z panami, którzy w trakcie przedłużającej się rozmowy postawili jeszcze jedną kolejkę. Następnie Walduś ruszył w dalszą drogę do szkoły. Niestety przy Tamce na pustym placu była następna budka i następni koledzy tatusia. No i tak się jakoś zeszło. Wyobrażam sobie, jaki skonfundowany był Nasz Pan. Na tym się jednak nie skończyło, bo Profesor wyszukał szkołę z internatem dla trudnej, ale zdolnej młodzieży. Warunkiem przyjęcia było zdanie egzaminu. Z obawy o liczne budki z piwem stojące wtedy dość nagminnie w różnych częściach Powiśla i otwarte od wczesnych godzin rannych Profesor osobiście zawiózł Waldusia na egzamin. Egzamin został pomyślnie zdany i Walduś przestał uczęszczać do naszej klasy.

Profesor włączał się zresztą w problemy dzieci z dzielnicy, o czym też wiem od mojej Mamy, bo trochę współdziałali w tym względzie. Były to różne sprawy od współdziałania z Opieką Społeczną, bo nauczyciel szkolny był w stanie zobaczyć, które dziecko w szkole jest słabo ubrane lub głodne i której rodzinie trzeba pomóc materialnie aż po takie interwencje bezpośrednie, wychowawcze.

Słyszałam o chłopcu bijącym i zastraszającym rodziców (w końcu to było Powiśle). Było to małżeństwo dwojga drobnych, niskich ludzi. Ich syn natomiast wyróżniał się masywną budową i wzrostem ponad przeciętna wiekową. Szybko zorientował się, że jest silniejszy od swoich rodziców i zaczął to wykorzystywać. Były to czasy powojenne. W szpitalu w tym samym czasie urodziły dwie kobiety. Jedną z nich była matka chłopca a drugą kobieta, która była na robotach w Niemczech. Jej ciąża była wynikiem gwałtu. Ponieważ dziecko matki chłopca zmarło, kobiety zamieniły się. Pani, o której mowa, wyszła ze szpitala z niemowlęciem. Zachowanie jej adoptowanego syna budziło w tej sytuacji lęk, czy skłonność do przemocy nie jest dziedziczna. Nasz Pan regularnie odwiedzał tą rodzinę w domu jako „samozwańczy" kurator. Chłopiec ten wyrósł na porządnego człowieka.

Przeglądając powojenne kroniki szkolne znajdujące się Towarzystwie Wychowanków Czackiego stwierdziłam, że przy wszystkich akcjach społecznych, takich jak wysłanie dzieci z ubogich rodzin na wieś na kilka tygodni (rodzaj zielonej szkoły), budowa boiska i sali

gimnastycznej, które odbywały się przynajmniej częściowo rękami nauczycieli, uczniów i rodziców uczestniczył Prof. Pieńkowski.

Odgruzowywanie boiska przy szkole na Dobrej

Nauczyciele Irena Skulska, Stefan Pieńkowski i Stanisława Zajkowska, 1948 rok wyjazd z dziećmi na zieloną szkołę

Jako długoletni nauczyciel wiem, jaka młodzież umie być wkurzająca i z dużym uznaniem wspominam, że pamiętam tylko jedną większą awanturę ogólnoklasową.

Dotyczyła skrzypiec, które Profesor trzymał w szafie klasowej. Po wyjęciu okazało się, że są nienastrojone a myśmy hałasowali mimo upomnień. Pękła struna w skrzypcach i w Naszym Panu. Była awantura.

Przyszła trzecia klasa i wtedy okazało się, że wychowawcą klasy będzie nadal Prof. Pieńkowski, gdyż zdążył zrobić odpowiednie kursy pozwalające Mu na nauczanie w dalszych klasach szkoły podstawowej. Pod koniec podstawówki sytuacja się powtórzyła i Profesor został naszym Wychowawcą w szkole średniej. Kończył już wtedy studia pedagogiczne.

Po maturze kiedyś odwiedził nas w domu Pan Profesor. Wybieraliśmy się wtedy na wieś, tam gdzie spędzaliśmy wakacje, gdy byłam małą dziewczynką. Dawno tam nie byliśmy i chcieliśmy zobaczyć, co dzieje się u ludzi, u których mieszkaliśmy.

Profesor zaproponował, że z nami pojedzie. Pamiętam jak zabrał się do rąbania drewna i kopania kartofli z zapałem, o jaki go nie podejrzewałam w stosunku do takich czynności. Ukopał cały koszyk kartofli. Ognisko też było głównie jego dziełem. Wrzucił prawie wszystkie kartofle, mimo mojego oporu i zwrócenia uwagi, że jest to marnowanie żywności, bo przecież nikt z nas nie zje takiej ilości kartofli. Następnego dnia Nasz Pan zaproponował pójście i obejrzenie miejsca wieczornego ogniska. Rozgrzebywał popiół z wyraźną satysfakcją i wygrzebywał kartofle. Opowiedział mi wtedy taką historię: w obozie, w którym był podczas wojny panował głód, w nocy leżał na pryczy i marzył, że po wojnie pójdzie na pole, ukopie kartofli, upiecze w ognisku i będzie jadł, jadł i jadł, ale mimo wszystko zostanie wiele kartofli na następny dzień. Po wojnie jakoś się nie złożyło i to swoje marzenie obozowe zrealizował dopiero w ponad 20 lat później.

Profesor Pieńkowski gratulujący zdanego egzaminu maturalnego Bogdanowi Szuszkiewiczowi, maj 1965

Po naszej maturze Profesor został dyrektorem renomowanego Liceum im. Batorego. Odwiedzałam go kilkakrotnie pomagając w pracowni biologicznej czy przy lekcjach pokazowych. Powiedział mi wtedy, że Jego powołaniem jest wychowywanie młodzieży a jako dyrektor takiej szkoły więcej musi myśleć o cieknącym dachu i remoncie pływalni niż o nauczaniu. Zresztą nie podobało mu się, że w godzinach rannych pod szkolę przyjeżdża kawalkada aut przywożąca uczniów.

Bardzo szybko zrezygnował i został dyrektorem Wieczorowego Liceum na Kopernika a później na Mokotowskiej. Myślę, że w tej pracy się realizował. Pisał pomoce do biologii, aby ułatwić swoim uczniom przyswojenie wiedzy.

Zajmował się prostowaniem ich postaw życiowych

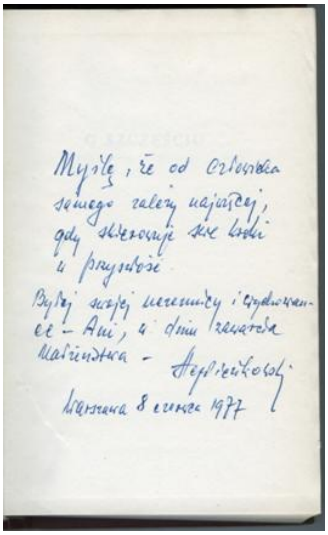
Myślę, że od człowieka
samego zależy najwięcej,
gdy skierowuje swe kroki
w przyszłość.
Byłej swojej uczennicy i czytelniczce - Ani, w dniu zdania
Matury - Tadeusz Pieńkowski
Warszawa 8 czerwca 1977